

Ze studiów na UW jeszcze dobrze w pamięci miałem postawę życiową „Skapca” Moliera, a także pomysłowość i dobre serce Stanisława Wokulskiego z „Lalki” Bolesława Prusa. Wzorując się na tych bohaterach nadałem warszawskim drużynom stosowne kryptonimy. Gwardia – to były w moim pojęciu molierowskie „harpagony”, a Legia – prusowski „elegancki lider”. Cieszę się, że po upływie pięćdziesięciu lat w „PS” (i nie tylko) nadal uważa się piłkarzy Gwardii za „harpagonów”. Boleję jednak, że na Raclawickiej jest teraz piłkarska bryndza, a na Łazienkowskiej nie ma tej klasy zawodników, co Lucjan Brychczy.

„Kici” – tak zawsze pisałem, a dziś powtarzam – przed epoką Włodzimierza Lubańskiego i Kazimierza Deyny był naszym najbardziej utalentowanym i najlepiej wyszkolonym piłkarzem, błyskotliwym i skutecznym. Wszak tylko Ernest Pohl wyprzedza go na liście ligowych strzelców wszechczasów. Obaj jednak mieli pecha, za wcześnie się urodzili. Dziś również byliby ozdobą boisk w całej Europie. Nietuzinkowym graczem był również Edmund Kowal, „zongler-kręciołek” – jak zwykł o nim mawiać znany fotoreporter Gienio Warmiński. Władysław Szpilman („Pianista”) skomponował piłkarską piosenkę „TRZEJ PRZYJACIELE Z BOISKA”. Nie wiem kogo miał na myśli, podobno skrzydłowego Ruchu Eryka Kubickiego, łącznika Gerarda Cieślika i bramkarza Ryszarda Wyrobka. W moim odczuciu na pewno takimi przyjaciółmi byli: Lucek, Ernest i Edmund.

Wypytywał mnie Roman Kołtoń, autor książki o mistrzostwach świata w Korei i Japonii, ile spotkań piłkarskich obejrzałem i oceniałem w czasie tak długiej kariery dziennikarskiej. Tysiąc? – Dwa tysiące? – sondował. – Nie liczyłem, bo pamięć skupiałem na innych faktach. Tak zgranych tercetów i tak pomysłowo kreujących akcje ofensywne w polskim piłkarstwie, jak Brychczy, Kowal i Pohl później już rzadko widywałem. Chyba tylko pomoc Legii Brychczy (znowu), Deyna, Blaut z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i druga li-

nia Kasperczak – Deyna – Maszczyk na mistrzostwach świata 1974 w RFN dorównywała ich klasie.

Brak sukcesów reprezentacji, źle zarządzane kluby, bariery polityczne, ekonomiczne i zakaz transferów zagranicznych utrudniały rozwój tych niecodziennych talentów. Trochę sami też byli sobie winni, bo niektórzy z nich nadmiernie korzystali z „rozkoszy dnia i nocy”. Pohl zaraz po „polskim październiku” miał mnóstwo lukratywnych propozycji z Bundesligi, a po meczu Polska – Hiszpania w Chorzowie, gdzie grali liderzy światowego futbolu – Alfredo di Stefano i Luis Suarez, trener Helenio Herrera omal nie nosił Brychczego na rękach. Błagał: *„Sprzedajcie mi tego chłopca, a ja go wkomponuję w napad Realu Madryt z Kopą, di Stefano, Puskasem i Gento”*. Kto dziś ma takie oferty?

W połowie lat pięćdziesiątych w słabym dotychczas polskim piłkarstwie można było zauważyć powolne odbijanie się od dna. Drużyna narodowa grała jeszcze w kratkę, bo niektórzy zawodnicy chętniej bronili barw klubowych, niż „biało-czerwonych”. Pojawiały się skandaliczne wypowiedzi w prasie: **„Co mi tam reprezentacja!”**. Jednak w roku 1955 z trzech rozegranych spotkań z Rumunią, Bułgarią i Finlandią nie przegrała Polska ani jednego. Nadzieją napawał dość duży napływ nowej fali. Poza wspomnianym tercetem z Legii, przebłyśki talentu ujawnili: Jerzy Woźniak, Henryk Grzybowski, Krzysztof Baszkiewicz, Henryk Kempny, Marian Norkowski, Engelbert Jarek... Udanie wspierali ich nieco starsi: Gerard Cieślik, Stanisław Hachorek, Leszek Jeziński, Marcelli Strzykałski, Henryk Szymborski, Roman Korynt i wiecznie młody Czesław Suszczyk.

Ten wzrost poziomu i optymizmu był bardzo potrzebny, bo właśnie w roku 1955 odbywała się w Warszawie pierwsza po wojnie – wprawdzie na modłę międzynarodowej młodzieżówki socjalistycznej – impreza sportowa na skalę światową. „PS” informował, że w kawiarni „Nowy Świat” gościło wieczorami pół sportowego świata. Było w tym sporo przesady, zwłaszcza jeśli idzie o piłkę nożną.

Fakt, przyjechało do Warszawy 15 drużyn z Europy, Azji (Pekin) i Afryki (Kair), ale nie były to zespoły najwyższego lotu. W tej sytuacji faworytem, obok Budapesztu i Bukaresztu, była nasza Warszawa, wzmocniona kilkoma zawodnikami ze Śląska. Przez eliminacje w grupie z Karl-Marx-Stadt, Pekinem i Liege przeszła jak burza, ale w półfinale potknęła się na Bukareszcie i przysł sen o pierwszym miejscu. Zespół z Rumunii, równoznaczny z pierwszą reprezentacją, górował nad naszymi piłkarzami wyszkoleniem technicznym i... chęcią do gry. Komentując ten turniej na łamach „PS” skierowałem pod adresem Polaków niezbyt wówczas popularne pytanie: – „NIE CHCĄ CZY NIE POTRAFIĄ?”.

Mecz o trzecie miejsce z Kairem Warszawa wygrała 3:1, ale tylko dlatego, że Egipcjanie popełnili stanowczo za dużo błędów w obronie. Nasi też grali kiepsko, ale taktycznie górowali nad Arabami. Cieślik, Trampisz i Woźniak wyraźnie się oszczędzali. Bojaźliwie grał nawet Brychczy – unikał starć z obrońcami. Jednak w całym turnieju najbardziej zawiódł nasz kapitan, Cieślik. Postawa Gerarda zaskoczyła kolegów z drużyny, wszak – dobrze wiedzieli, że stać go na dużo lepszą grę. Olał ten turniej? Bukareszt – nasz pogromca z półfinału, wygrał zawody bez większych kłopotów.

FENOMEN Z SOSNOWCA

Znaczna część kibiców przyjęła „oszczędną grę” Polaków ze zrozumieniem. Dla nich też – tak jak dla piłkarzy – ważniejsze od tego mocno upolitycznionego turnieju były interesujące rozgrywki ligowe. Wysoka wygrana Legii w derbach stolicy nieco oddaliła Gwardię od czołówki, ale nadal utrzymywała się w pięcioosobowym peletonie: Legia, ŁKS, Stal (Zagłębie) Sosnowiec, Ruch i Gwardia. Prawdziwą rewelacją w tym towarzystwie było Zagłębie, zwłaszcza jego bramkarz Aleksander Dziurawicz. Wyrastał na bohatera numer jeden całej batalii o ligowe

punkty. W sześciu kolejnych meczach nie przepuścił ani jednej bramki! Redaktor Zmarzlik, rodowity sosnowiczanie promieniał z radości.

Ale najpoważniejszy egzamin pupila Czerwonego Zagłębia (taką opinię miał ten region Polski już przed wojną) oczekiwał dopiero w Warszawie. Legia miała już za sobą kilka efektownych zwycięstw nad drużynami zagranicznymi: belgijskim White Star 8:0 (sześć goli strzeliło trio: Brychczy, Kowal, Pohl), francuskim RC Lens 5:2 i Rudą Hvezdą Bratysława 3:1 (trzy bramki Brychczego), teraz liczyła na pierwsze w historii klubu mistrzostwo Polski. Nie mogła więc pozwolić sobie na przegraną ze Stalą. Był to wymagający i ambitny rywal, a jego trener Włodzimierz Dudek miał już gotową receptę na wywalczenie tytułu. W jednej z rozmów ze mną powiedział:

„Krażą wokół Stali przedziwne opinie: że jest najszcześniejszą drużyną pod słońcem, że ma zaczarowaną bramkę i rozpościera nad nią swój ochronny parasol Edward Gierek. A to wszystko bzdura! Prawdą jest natomiast, że ja, trener tej drużyny, wiem, jak dotrzeć do końca rozgrywek na pozycji lidera. U siebie w Sosnowcu trzeba wszystko wygrać, a u przeciwnika zremisować i tytuł mistrzowski będzie nasz!”

W arcyciekawym meczu z Legią w Warszawie filozofia i strategia Dudka dość długo triumfowały. Nie nastawił zespołu na jednostronną taktykę defensywną, czym w tamtych latach gustowali „gdańscy murarze” trenowani przez Tadeusza Forysia i „poznańscy desantowcy”, liczący tylko i wyłącznie na strzelecki talent Teodora Anioły. Nie, Dudek i jego Stal zbierali na Stadionie WP oklaski również za odwagę i pomysłowość w grze ofensywnej. A jednak do 87 minuty utrzymywał się wynik bezbramkowy. Wprawdzie „Kici” dwukrotnie był blisko pokonania Dziurowicza, ale w obu wypadkach górą był piłkarz znad Brynicy. Kolejny strzał Brychczego był jednak celny i Legia wygrała 1:0. Sprawdziło się porzekadło „do trzech razy sztuka”...

Siedziałem na tym meczu w towarzystwie redaktorów Grzegorza Aleksandrowicza i Jerzego Zmarzlika. Oni jako widzowie, ja jako sprawozdawca. Wszyscy trzej wielokrotnie głośno artykułowaliśmy przeróżne „ochy” i „achy”, biliśmy brawo, ale końcowy wynik z pełną aprobatą przyjąłem tylko ja. Zmarzlik – jako wierny syn Ziemi Zagłębiowskiej – nie ukrywał rozczarowania, zaś Aleksandrowicz raczej bliższy uczuciowo Gwardii, zwycięstwo Legii przyjął chłodno, bez większych emocji. W relacji z tego niecodziennego meczu sporo ciepłych słów poświęciłem obu rywalom.

„NAJLEPSZY MECZ DZIESIĘCIOLECIA”

„CHWAŁA ZWYCIĘZCOM I POKONANYM”

– takie było główne motto przeglądowego komentarza. W tekście nie można było jednak pominąć braw i uznania dla Brychczego za odczarowanie bramki Stali po 627 minutach brawurowych interwencji Aleksandra Dziurawicza. W takim nastroju, pochwał i podziękowań, Legia i Zagłębie kończyły rundę wiosenną. Komu jesienią kurka jajko zniesie? Czy dopiero nad Brynicą rozstrzygną się losy mistrzostwa?

Duże apetyty na tytuł miały także ŁKS i Gwardia. Jednak szanse łodzian pogrzebali niesforni kibice. W 60 minucie meczu przy stanie 2:1 dla Polonii Bytom wtargnęli na boisko i zaczęli wymierzać gościom „sprawiedliwość”. Sędziego też usiłowali wygarbować, a był nim mój redakcyjny szef, Grzegorz Aleksandrowicz. Oj, nie lubił on takich drak, oj – nie lubił! Po meczu jeszcze czekano na „pana Grzesia” przed szatnią, ale przytomność i spryt łódzkich działaczy zmyliły garstkę żądnych samosądu. Karetką pogotowia do Koluszek, a stamtąd pociągami, arbiter bez szwanku powrócił do Warszawy.

Następstwa tego skandalu były łatwe do przewidzenia: walkower 3:0 dla Polonii, kary indywidualne dla zawodników i zamknięcie boiska. Najbliższe spotkanie z Legią musiał ŁKS rozegrać w Szczecinie. Mnie też diabli tam ponie-

śli, ale nie żałowałem. Pierwszą połowę oba zespoły rozegrały w stylu iście mistrzowskim, na poziomie wiosennego pojedynku Legia – Zagłębie. Po przerwie „Włókniarzom” nie dopisała kondycja i „Wojskowi” wygrali aż 5:1. ŁKS odpadł więc z peletonu, wcześniej pogubiła się Gwardia, za słaby był Ruch, przeto na placu boju pozostały już tylko Legia i Zagłębie. Rewanż w Sosnowcu...

Moje ułomne pióro nie jest w stanie barwnie i z odpowiednią dozą dramaturgii opisać tego wszystkiego, co w tygodniu poprzedzającym ten mecz, działo się w redakcji. Jurek Mrzygłód i karykaturzysta Edward Ałaszewski załamani tak niefortunnym zakończeniem sezonu przez ŁKS, naczelny Edward Strzelecki i zastępca Jerzy Zmarzlik – obaj rodem z Sosnowca” podekscytowani do granic dotychczas niespotykanych. Zygmunt Głuszek, urodzony hazardzista, organizuje wewnętrznego toto-lotka, Gienio Warmiński niemalże wychowany na Łazienkowskiej, w nieco gorszym, niż zawsze humorze, a ja pełen obaw, czy znajdę się w redakcyjnej ekipie na to wydarzenie. Tak – wydarzenie, bo na ten mecz z wypiekami na twarzy oczekiwali sympatycy obu drużyn z całej Polski!

Kierownictwo „Przeglądu Sportowego” wydelegowało na ten finał ligowego sezonu 1955 trzech Jerzych: Zmarzlika, Mrzygłóda, Lechowskiego i fotoreportera Gienia Warmińskiego. Gdyby to działo się w dzisiejszych czasach, wsiadamy w redakcyjny samochód i hajże na Sosnowiec! Ale wtedy?... Auto było luksusem. Nie było też pociągów standardu europejskiego, a wagony pierwszej klasy pociągów pośpiesznych bez miejscówek. Był tylko niesamowity tłok. Całą trasę Warszawa – Katowice przemierzyliśmy na stojąco. Nastrój w wieczór poprzedzający ten mecz przypominał na Śląsku przygotowania rycerzy do średniowiecznych turniejów. Koili roztrzęsione nerwy z dala od oczekującej ich bitwy. Sosnowiczanie skryli się w katowickim hotelu „Monopol”, a legionieści w „Polonii”. My też tam się zatrzymaliśmy. Gienio nie mógł zasnąć, tak przeżywał ten mecz, to i nam nie dał spać. Marudził:

– Tu, za rogiem, już o szóstej rano otwierają bar mleczny. Na śniadanko bułeczka z masełkiem, rozumie się gorące mleczko lub kakao, może być też jajecznica, naleśniczki z serem. Wstawajcie Jurusie...

Zmarzlik największy śpioch w tym towarzystwie początkowo milczeniem zbył głędzenie Warmińskiego, ale gdy ten stawał się upierdliwy, nie wytrzymał: podniósł sprzed łóżka but i rzucił nim w kierunku Gienia. Spudłował, kamasz trafił w lustro...

Mecz rozpoczął się w niedzielę, 20 listopada, w samo południe wraz z hejnałem z Wieży Mariackiej w Krakowie. Początek wymarzony dla gospodarzy, już w 40 sekundzie przy linii bocznej starego boiska Stali na ulicy Mireckiego toczył się spór o aut. Sędzia wskazał na Zagłębie, wrzut przejął Krężel, wymanewrował Strzykalskiego, wypatrzył wbiegającego w pole karne Uznańskiego, sosnowiecki „prezes” celnie strzelił i... piłka zatrzepotała w siatce. Redaktor Zmarzlik jak by porażony prądem, poderwał się z krzesła, po chwili z namaszczeniem zdjął z głowy kapelusz i w głębokich ukłonach przemaszerował przed lożą honorową, przygotowaną specjalnie na ten mecz.

– Panowie, kapelusze z głów! – Oto narodził się mistrz Polski 1955! – oznajmił gościom z całej Polski.

Przygryzłem wargi, z trudem przełknąłem ślinę. Lubię Zagłębie, ale jestem z Warszawy, więc – co tu ukrywać – zawsze bliższa człowiekowi koszula, niż sukmana. Nieswojo czułem się jednak tylko przez 14 minut. Właśnie Edmund Kowal wybijał z prawej strony trzeci z kolei rzut różny dla Legii. Centrum przejął lewą nogą „Kici”, w polu karnym zwodem uwolnił się spod niezwykle „czutej” opieki Piotra Musiała i prawą chytrze strzelił w lewy róg. Wyrównał na 1:1. Ten remis zadowalał „Wojskowych”, grali więc bardzo uważnie, spokojnie, bez kawaleryjskich szarży. Wszak teraz Legia była mistrzem Polski. Zagłębie tylko przez 14 minut...

Sukces nad Brynicą dodał Janosowi Steinerowi odwagi i większej pewności siebie. Zaczął marzyć, mocno się przy tym pusząc i rozczulając. Zajęcia były lżejsze i krótsze, typowe dla okresu posezonowego roztrenowania. Janos miał teraz więcej czasu i spokoju. W wolnych chwilach popijał czerwone wino węgierskie i delectował się cygarami. W drodze do domu od czasu do czasu pociągał również z butelki piwko w budce „U Adelki”, tuż przed głównym wejściem na stadion. Wieczorami rozkładał na stół mapę Europy i z rozkoszą jeździł po niej palcami. Podróżował z mistrzem Polski:

– Zuerst (najpierw) Legia jechacz do Bundesrepublik, Hamburg, Koeln, Muenchen... Dann (potem) nach Amsterdam, Paris, London... Legia immer (zawsze) zwyczajacz... Endlich (wreszcie) der grosse Real Madrid!... Hier auch wielka sukces... Janosz ist zufrieden (zadowolony), Herr Generale tesz, bo miecz duszo Geld...

Na razie trener Steiner i jego pupile mieli za sobą wyprawę do Francji. Dla Janosa nie była pomyslna, zawodnicy stawali okoniem. Najpierw w nocy, poprzedzającej mecz z Vallenciennes, wybrali się do kina na „Cenę strachu”, a dosłownie przed samą grą „zabalowali” u mera miasta. „Epi” Kowal i spółka wyraźnie przesadzili w degustacji szampana. Steiner wrzeszczał:

– Herr pulkownika, tseba odwołacz ta gra!... One som besoffen... Pijane!

– Ależ to niemożliwe – odparł spokojnie szef ekipy. – Obowiązuje nas umowa... Musimy rozegrać ten mecz.

– Nein! – nadal pieklił się trener.

Gdy na nic zdały się jego protesty, wpadł na parszywy pomysł.

– Muessen spielen?! To druszyna ma dzisz Franio (Głowacki). Janos geht tribuna...

Do przerwy 0:0, Steiner triumfuje:

– One padnom w druga polowa!...

Czas płynął, na moment Francuzi rzeczywiście przygnietli, ale bramki nie zdobyli. Skazani na niepowodzenie legioniści wykpiłi oburzenie Janosa. Strzelają jedną bramkę, drugą, trzecią... Zaskoczony trener skręcał się ze złości w loży honorowej. Nagle wyskoczył z fotela, zbiegł z trybuny, podszedł do Głowackiego i poklepał go po plecach:

– O, Franio dobre Kameraden! Dzenkuja... Teraz Janos boisko, a Franio tribuna.

Widzą to piłkarze. Kapitan drużyny Marcelli Strzykalski pokrzykuje w kierunku Frania.

– Nie słuchać go!... Głowacki, dla pana tak walczymy!

Ostatecznie Legia wygrała ten mecz aż 6:1.

Takich nieporozumień między Głowackim i Steinerem było więcej. Wracali właśnie z Jugosławii, gdzie Janos kupił dwa kozuchy. Za dużo, mogą być kłopoty na granicy. Jeden więc od razu wręczył Głowackiemu. Znowu był wylewny:

– Franio – Janosz zwei gute Kameraden. Bitte, bracz kabat...

Zdziwiony Franio, ale i zadowolony mocno wyściskał Janosa. Taki prezent?!... Przejaw wielkiej przyjaźni trenerów... Wszystkie kontrole celne udane. Ekipa jest już w Polsce. Uradowany Steiner klepie Głowackiego po plecach.

– O, Franio dobre Kameraden. Dzenkuja – powtórzył tekst z Francji...

Zabiera kozuch i... pakuje do swojego worka. Franio osłupiał. Z głupoty pięścią palnął się w łeb. On taki warszawski „cwaniak” dał się wyprowadzić w pole Węgrowi.

Był to jednak początek końca pracy Steinera na Łazienkowskiej. Kto go zastąpi – Głowacki czy Górski? Kazio, choć czasami styl bycia i pracy Węgra mocno go bawił, lubił z nim porozmawiać i sporo się od niego nauczył. Był ten rubaszny Janos zupełnie inny, niż Kuchar, Koncewicz, Foryś...

Steiner był mi szczególnie bliski – mówił Górski. – Kiedyś sam strzelałem bramki i do dziś mam w sobie duszę napastnika. A Węgier lubił grę ofensywną. Nie bał się ryzyka i to właśnie w jego pracy najbardziej mi odpowiadało. O Legii w tej chwili nie myślę. Jestem na etacie w PZPN...

FORSOWANIE „ŻELAZNEJ KURTYNY”

U schyłku 1955 roku – w ślad za powoli nadchodzącą „polską odwilżą” – również w piłkarstwie zaczęto mówić o konieczności zmian. Wypadało by rozluźnić administracyjne i finansowe pęta krępujące kluby i pomyśleć o przywróceniu im tradycyjnych, swojsko brzmiących nazw. Przestać też kisić się wyłącznie w sportowym sosie demoludów i kopiować wyłącznie wschodnie wzory. Za przejaw forsowania w futbolu „żelaznej kurtyny” można by już uznać wizytę belgijskiego White Star i francuskiego FC Lens w Warszawie i na Śląsku, ale dopiero wyrażenie zgody GKKF na udział naszych juniorów w turnieju UEFA zapowiadało bardziej przyjazne spojrzenie na Europę.

Okolicznością sprzyjającą, która pozwoliła urzędnikom z Alei Róż i ich aplegierkom z Alei Stalina (tak się wówczas nazywały Aleje Ujazdowskie) uniknąć całkowitej ślepoty, była niedawno powstała UEFA. Zaproszono Polaków – jak to się wówczas romantycznie mówiło – do udziału w piłkarskim rendez-vous młodzieży we Włoszech. Trenerem naszych juniorów w parze z Zygmuntem Jesionką był wtedy Kazimierz Górski. Z zadowoleniem przyjął decyzję o wyprawie do Italii, miał przecież w kadrze sporo utalentowanej młodzieży. Niemal każdego dnia zwierzał mi się z postępów w przygotowaniach.

Miał dobre wzory, wszak już od 1947 roku jego starsi koledzy po fachu z zapalem szkolili na centralnych zgrupowaniach: Bieńka, Dziurowicza, Jankow-

skiego, Hodyrę, Kaszubę, Kuleszę, Majewskiego, Małonia, Poświata, Sąsiadka, Trampisza, Uznańskiego, Zientarę i dosłownie setki ich rówieśników. Ci chłopcy w roku 1948 już raz błysnęli talentem i charakterem, wygrali w Łodzi z Węgrami 1:0. Potem tak spektakularnego sukcesu już nie odnieśli. Może więc we Włoszech?... Kazimierz Górski od roku systematycznie budował drużynę. Nie ukrywał, że liczy na jej udany debiut w Montecatini. Tymczasem Leszek Rylski przywiózł z Kongresu UEFA w Wiedniu niemalże hiobową wieść: we Włoszech mogą grać juniorzy urodzeni dopiero po 1 września 1936 roku.

– Dlaczego? To jakieś „widzimi się”... Zmieniają regulamin na kilka miesięcy przed turniejem? – oburzali się Jesionka i Górski.

– To ukłon pod adresem klubów i lig zachodnich – wyjaśnił Rylski. – Tam grają systemem „jesień-wiosna”, na ogół rozpoczynają mistrzostwa właśnie we wrześniu, więc te zmiany są dla nich korzystne.

– Ale mnie komplikują pracę – żalił się Górski. – W październiku wytypowaliśmy 35 kandydatów do reprezentacji, cały rocznik 1936, a teraz dowiadujemy się, że są za starzy. Zostałoby tylko pięciu!...

Kazio mocno się wkurzył, ale na przegranego nie wyglądał. Również on, niczym dzielny wojak Szwejk, tylko się pocieszał:

– Jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było... Natychmiast trzeba zmontować nową drużynę.

Budowali na prędcie, jak pokerzyści wchodzili do gry w „ciemno”, na „łapucapu”, ale do Włoch pojechali. Podróż pociągiem wiodła przez Wiedeń, Padwę, Florencję. Słońcem powitała ich piękna Toscania, tak piękna, jak nasze „najpiękniejsze jest Mazowsze”. Ja wtedy z juniorami nie byłem, pojawiłem się tam dokładnie 40 lat później z reprezentacją Warszawy. Mając dobrze w pamięci wspomnienia Górskiego i Rylskiego z tych niemalże „zamierzchłych” czasów, a także „olimpijczyków” z roku 1960, smakowałem i dotykałem rękami te wszystkie

miejsca i rzeczy, także siedziska na stadionach w Livorno, Pizie i Florencji, gdzie nasi wówczas i teraz kopali piłkę.

Byłem również w Montecatini, obejrzałem hotel „Corallo”, w którym w roku 1955 mieszkały juniorskie ekipy, a teraz czułem się jakbym był w Ciechocinku lub Krynicy. Takie właśnie jest Montecatini. A Piza? Byłem pod Krzywą Wieżą, coraz bardziej pochyloną, akurat restaurowaną i niedostępną dla turystów. Miło i wesoło było na tej pierwszej wyprawie naszych juniorów „na Zachód”, choć wyniki kiepskie. Zgrzytem tego rendez vous, tu już zahaczamy o politykę, była nieobecność w Montecatini juniorów NRD. Rząd włoski, mimo sprzeciwów federacji, nie udzielił im wiz wjazdowych. Dziennik „Unita”, organ komunistycznej partii Włoch, uznał to za czyn „oburzający, złośliwy i obcy zasadom współzycia sportowców wszystkich krajów”. Puszczono to mimo uszu. Za „żelazną kurtyną” obowiązywała wtedy wobec NRD doktryna Hallsteina.

W Montecatini nasi juniorzy nie podbili Europy, także u nas w kraju trudno byłoby ich uznać za „cudowne dzieci”, jednak kilku z nich w wieku już w pełni dojrzałym zagrało w pierwszej reprezentacji Polski. Pamiętacie lewego łącznika Janka Liberde? Dobry technicznie, snajper i rozgrywający, był pupilkiem całego Bytomia i trenera Ryszarda Koncewicza. A środkowego Jana Szmidta? Silny, nieco ociężały, ale strzelił bramkę Jugosławii w eliminacjach mistrzostw świata 1962. Prawoskrzydłowy Zygmunt Gadecki wychowanek Lechii Gdańsk, później partner Brychczego w Legii, szybki jak gazela... Lewoskrzydłowy Nowak najwcześniej z całej tej czwórki wystąpił w drużynie narodowej.

Lekcja, jakiej we Włoszech udzielili nam Hiszpanie i Bułgarzy, przekonała nadzorców z GKKF, że dalsze traktowanie piłki nożnej, jako sportu niższej kategorii jest idiotyzmem. Cała Europa uwielbia tę grę i szkoli młodzież! Górski postulował: – **Jeszcze w tym roku trzeba zorganizować rozgrywki pucharowe z udziałem juniorów ze wszystkich województw. To zmobilizuje okręgi do lepszej pracy, a te**

z kolei zmuszą kluby do poważniejszego traktowania własnego narybku. Zmieniono też w relacji młodzieżowej system rozgrywek z „wiosna – jesień” na „jesień – wiosna” i w ten sposób zbliżono je do norm od lat obowiązujących w krajach zachodnich.

Przywrócono w okresie ferii zimowych i letnich wakacji centralne zgrupowania dla wybijających się juniorów. To był krok we właściwym kierunku. Rok później, podczas kolejnego turnieju UEFA na Węgrzech, wpadka z Montecatini już się nie powtórzyła. Nie dopuścili do tego przede wszystkim późniejsi reprezentanci drużyny narodowej seniorów: bramkarz Konrad Kornek, obrońcy Fryderyk Monica, Stanisław Oślizło i Władysław Kawula, pomocnik Antoni Nieroba oraz napastnicy Zygmunt Gadecki, Roman Lentner i Helmut Nowak. Ośmiu wspaniałych...

W sobotę 8 lipca 1955 roku „przeglądowcy”, z okazji 10 po wojnie rocznicy ukazywania się pisma, w kawiarni „Europa” spotkali się z Czytelnikami. Wystąpiłem w jednej z głównych ról, bo już wówczas redagowałem rubrykę „ROZMAWIAMY Z CZYTELNIKAMI NA TEMATY PIŁKARSKIE”. Dyskutowaliśmy wszyscy, a potem już tylko wybrani oblewali jubileusz w restauracji „Stolica”. Pijaństwa nie było, bo ćwiartka przypadła na dwie osoby, ale na tym podrażnieniu gardeł się nie skończyło. Redakcyjni kawalerowie porwali kelnerki i przenieśli się z nimi do innych lokali. Co było później? Najzaradniejszy był Janek Wojdyga, z ładną dziewczyną wylądował w Markach pod Warszawą. Miecio Kaliciński, podpora „Zielonego Przeglądu”, piewca Ludowych Zespołów Sportowych, chłop o zacięciu satyrycznym, podrzucił mi swój tekst z jubileuszowego numeru „PS”:

...Jerzy Lechowski specjalista (in spe) od piłki nożnej. Po przegranych CWKS chodzi jak struty. Jurek terminuje u Grzegorza Aleksandrowicza, znanego działacza i sędziego piłkarskiego, kierownika działu sportu „PS”. Lechowski – to już dziś chodząca encyklopedia... Często rozmawia z Czytelnikami. Pytam go: – Co chciałbyś im kolego dziś przekazać?... Wołajcie więcej i głośniej o totka – odpowiedział najgorliwszy w redakcji zwolennik zasilania funduszu PKOl.

Gry liczbowe i typowanie wyników nie tylko piłkarskiej Klasy Państwowej (tak przez jakiś czas nazywano naszą ligę) były u nas znane już w pierwszych latach po wojnie. Udziału w tym wtedy nie brałem z prozaicznego powodu – braku odpowiednich funduszy. Wolałem, korzystając często na trasie Skierniewice – Warszawa i z powrotem z biletu „rocznego-niewidocznego”, obserwować na Łazienkowskiej mecze Legii lub Polonii. Za „co łaska” w ówczesnych złotych przechodziło się na miejsca stojące od strony zegara... przez duże dziury w płocie. Było fajnie i niemalże legalnie. Gruby Kazio wtedy jeszcze tu nie rządził. On dopiero nieco później swoim napęczniałym brzuchem, nawet generałom, gdy byli po cywilnemu, blokował wejście na główną trybunę. Mnie wpuszczał, bo mocnym passe-partout była legitymacja „Przeglądu Sportowego”, początkowo na nazwisko Bogdana Tuszyńskiego, a od jesieni 1953 już na moje własne.

O konieczności wznowienia działalności totalizatora sportowego dyskutowaliśmy w „PS” dość często. Skalę i tak już gorących rozpraw na ten temat spotęgowały echa wizyty red. red. Grzegorza Aleksandrowicza i Emilii Godlewskiej-Szczudłowej w gazecie sportowej NRD „Deutsches Sportecho”. Było to w ramach tzw. „wymiany doświadczeń” czasopism o tym profilu redagowanych w krajach demokracji ludowej. Ten szkoleniowy staż zrobił swoje. „Pan Grzegorz”, dotychczas obojętnie przyglądający się hazardowym upodobaniom redakcyjnych kolegów, nagle zmienił zdanie i zapalał chęcią utworzenia w Polsce Państwowego Przedsiębiorstwa „Totalizator Sportowy”. Trafił na podatny grunt, pochwaliliśmy tę inicjatywę i skłoniliśmy pomysłodawcę do napisania w „PS” artykułu o grze, w NRD zwanej „Sport-Toto”.

Autor zwrócił uwagę przede wszystkim na to, jakie wymierne efekty daje sportowi NRD ten „niewinny hazard”. Popularyzuje kulturę fizyczną, budzi emocje nie mniejsze, niż gra na boisku i co najważniejsze – przynosi ogromne korzyści finansowe. Dzięki temu można budować nowe stadiony i wspierać dosłow-

nie wszystkie dyscypliny sportu. Czytelnicy, z którymi rozmawiałem na łamach również o tej nowości, z entuzjazmem przyjęli sugestie Aleksandrowicza. A władze? Najszybciej zareagował Polski Komitet Olimpijski. Totek ruszył, miał nawet własne pismo, a ja w „PS” przez jakiś czas pomagałem Czytelnikom typować wyniki ligowych spotkań. Największy pożytek z tego miała nasza ekipa olimpijska, udająca się na Igrzyska do Melbourne. Zdobyte tam medale są więc w znacznym stopniu również zasługą dziennikarza „Przeglądu Sportowego”.

Zanim jednak doszło do publicznej manifestacji naszych upodobań, w redakcji zabawialiśmy się w wewnętrzznego totka. Grał i typował każdy, a pulę zgarniał ten, kto miał najwięcej trafnych wyników. Nie koniec na tym, osobne zakłady na jakiś ważny, pojedynczy mecz, przyjmował też nasz nadworny karykaturzysta Edward Ałaszewski. Zarabiał nieporównywalnie więcej od każdego z nas, więc mógł szastać pieniędzmi. Przed wojną „Ała” bramkarz najdłużej był związany z ŁKS. Wiedziony sentymentem, miał ku temu podstawy, czy nie – z reguły stawiał na łódzkiej „Włókniarzy”. Nie szło mu o pieniądze, miał taki kaprys. Nie chodził boso, miał na buty i ostrogi, ładnie się ubierał. Najczęściej partnerem pana Edzia w tych gierkach byłem ja, a przedmiotem naszych sporów głównie – CWKS. „Ała” doceniał klasę Legii, ale za nią nie przepadał, wołał ŁKS i Polonię, z którą przed wojną też miał krótki piłkarski romans. Ja takich uczuć nie doznałem.

„Ała” częściej ze mną przegrywał, ale raz – dzięki sędziemu Szlajferowi ze Szczecina – dopadł mnie okrutnie, po prostu puścił w skarpetkach. Arbiter z sobie tylko wiadomych przyczyn w meczu Legia – ŁKS usunął z boiska Brychczego i... „Wojskowi” przegrali 2:3. Potem przez jakiś czas w barze mlecznym „Prasowym” przy Marszałkowskiej, tuż obok „przeglądowej” kawiarni „Świtezianka”, aż do najbliższej wypłaty jadłem tylko suche bułki i popijałem je małym kubkiem mleka. O, przepraszam, raz jakby w przypiływie uczuć ojcowskich, pan Edward zaprosił mnie na obiad do restauracji „Rarytas”. Był zakrapiany...

Nie lubię przegrywać, zawsze pałam chęcią rewanżu. Okazja nadarzyła się we wrześniu. Na stadionie WP odbywał się finał Pucharu Polski, Legia kontra Lechia Gdańsk. Znowu zakład i to o wyjątkowo dużą stawkę. Ałaszewski chciał tym razem postawić na CWKS, ale przekonywałem go, że nie wypada stawiać na drużynę, za którą serce nie pika. Poszło ostro, ostatecznie „Ała” postawił na Lechię. Przed grą wcale nie stał na straconej pozycji. Rywale Legii trenowani przez Tadeusza Forysia, zwanego w środowisku „Sebesem z Wybrzeża”, znani byli z doskonałej taktyki defensywnej. Żartowano, że łatwiej słoniowi przebić się przez dziurkę w igle, niż napastnikowi przez gdańską obronę. Nawet urodzony optymistą Janos Steiner miał wątpliwości, czy wojskowi na pewno wygrają.

Stała się jednak rzecz przez fachowców nie oczekiwana. Legia rozgromiła Lechię aż 5:0! Wygraną przejąłem od Ałaszewskiego w naturze. Brat pana Edwarda przysłał z Anglii elegancki garnitur, nowiuteńką dwurzędówkę w przyjemnym kolorze brązowym. Ubiór ten miał jednak pewną wadę – był dla brata z Polski nieco za mały. Na mnie akurat! Interes ubiliśmy w trymiga, przesyłka z Londynu była moja. Jednak nie to wydarzenie z meczu Legia – Lechia zasługuje na zeznanie świadka koronnego. Zjawiskiem wyjątkowym w tym pojedynku duetu bramkarz Henryk Gronowski i stoper Roman Korynt z napadem CWKS był Ernest Pohl. Wpadł na pomysł, a Steiner to zaakceptował, żeby z tej ważnej rozgrywki wyłączyć Korynta. Wtedy może łatwiej będzie o zwycięstwo...

– Zrobimy to tak – zwrócił się Pohl do kolegów swoim, jak zawsze poważnym i sugestywnym głosem. – Sam dam popalić Romanowi. Nie on będzie mnie „krył”, tylko ja jego!

– A kto będzie strzelał bramki? – rzeczowo zapytali obrońcy Legii.

– Przede wszystkim „Hyniek” Kempny, a „Kici” będzie mu podawał – pewnie odpowiedział Ernest.

I tak się stało. Rzeczywiście, aż trzy gole dla Legii zdobył Kempny, a pozostałe dwie środkowy obrońca Słaboszowski i... Pohl. Rok później „Wojskowi” znowu ustrzelili dublet – mistrzostwo i Puchar Polski. Drugim finalistą w tej „imprezie tysiąca drużyn” był Górnik Zabrze, a bramki dla zwycięzców tym razem zdobyli Kowal, Brychczy i Strzykalski. Debiutant z Zabrza był jednak godnym rywalem, powoli wyrastał na nową potęgę w polskim futbolu.

Finał 1957 z ŁKS-em Górnik znowu przegrał, ale w lidze był już najlepszy. Zresztą, wtedy w Łodzi przegrał nie tylko Górnik, przegrało całe krajowe piłkarstwo. Na pięć lat, Bóg wie dlaczego, pożegnano się z Pucharem Polski. Złośliwi przebąkiwali, że to z zemsty, za doznane krzywdy w latach 1946 – 1956 i że odrodzony PZPN wie, co robi. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ta forma rozgrywek była przecież „oczkiem w głowie” SPN GKKF, instytucji de facto hamującej rozwój piłkarstwa. Teraz jest znowu PZPN i nie ma zamiaru firmować imprez narzucanych z zewnątrz. Filozofia chłopca, który na złość babci odmraża sobie uszy.

Powodów do ubolewania nad powikłanymi losami Pucharu Polski jest więcej. Czasy się zmieniały, ster PZPN przejmowali coraz to inni prezesi (z reguły przynoszeni w teczkach przez urzędników z wysokiego szczebla ministerialnego, rządowego lub partyjnego), upadł ustrój totalitarny i gospodarka nakazowo-rozdzielcza, ale status imprezy, pomyślanej jako szansa również dla „maluczkich”, nie uległ zmianie. Cały czas rozgrywki pucharowe były traktowane jako zło konieczne. Przy Królewnie lidze – to typowy Kopciuszek. Liga pochłania pieniądze, ale daje także kasę, Puchar Polski z reguły jest nierentowny.

Na lidze od momentu, kiedy „pan Grzegorz” zmobilizował władze do powołania Totalizatora Sportowego, fortuny zbijają głównie hazardowi gracze, czasami także niektórzy piłkarze i sędziowie, tzw. „ustawiacze wyników”. Raz nawet z radości po wysokiej wygranej podskakiwał stoper Legii Henryk Grzybowski.

W pierwszych dniach kwietnia 1955 roku (wtedy po raz pierwszy odbył się konkurs na odgadnięcie wyników I i II ligi) ja też byłem bliski szczęścia. Bezbłędnie wytypowałem rezultaty 12 spotkań, ale do kasy nie podszedłem. Pozbawił mnie tej przyjemności jeden z najwierniejszych redakcyjnych kolegów, też absolwent UW Michał Kierczyński.

Wypełniłem kilka kuponów, przeznaczyłem na to sporo pieniędzy i poprosiłem Michała, aby w moim imieniu złożył to w kolekturze. A sam, jak zwykle pełen optymizmu, udałem się na Śląsk. Wieczorem w redakcji „Sportu” Katowice sprawdziłem wyniki ligowe z moimi typami i omal nie oszalałem z radości: – Wygrałem! Kolegom ze „Sportu” postawiłem na tę okoliczność kolejkę gorzałki. O swoim szczęściu poinformowałem maszynistkę Basię Wasilewską, która odbierała moją relację z Katowic, przepraszam – wtedy Stalinogrodu. Zapytałem czy jest Kierczyński. Był z „Zielonego PS”, więc w niedzielę nie musiał pracować.

W poniedziałek też go nie było. Zastanawiające. Kochani, że mnie wtedy nie trafił szlag, to chyba zasługa opatrności boskiej! Nie wygrałem! Kumpel, z którym mieszkalem w jednym pokoju w bursie RSW „Prasa” przy ulicy Szwoleżerów, wyrzucił moje typy do kosza. A co zrobił z forszą? Przehulał z jakąś panienką! Pozostało mi tylko powtórzyć za Mickiewiczem: – *„Nie masz teraz prawdziwych przyjaciół na świecie...”* Przebaczyłem? O, nie! W miesięcznych ratach spłacał mi tę „swoją randkę” przez ładnych kilka lat...

„Przegląd Sportowy” przez swoje pierwsze powojenne dziesięciolecie pracował w warunkach urągających nie tylko redakcyjnym, ale także ludzkim potrzebom. Tak było na Nowogrodzkiej, Żurawiej i Alei Szucha (wówczas I Armii Wojska Polskiego), gdzie pani sekretarz redakcji z... ubikacji urządziła sobie gabinet. Z tego powodu, gdy ktoś chciał zrobić siusiu, musiał się wspinać na drugie piętro i stać w kolejce za będącymi w potrzebie dziennikarzami z tygodni-

ka „Dookoła Świata”. Takie były czasy. Dość wyraźna poprawa nastąpiła dopiero po „polskim październiku”. Przeniesiono redakcję na czwarte piętro kamienicy czynszowej przy ulicy Mokotowskiej 24.

Był to rok olimpijski – 1956. Dla sportu pomyslny, znowu posypały się medale: złote, srebrne, brązowe. Naszym specjalnym wysłannikiem był Jerzy Zmarzlik. Pisał dużo i dobrze, ale wierszówki stosownej do talentu i wysiłku nie otrzymał. Większą kasę zgarnął Artur Cendrowski za zbieranie wyników i opracowywanie przeróżnych tabel. Zaskoczony Zmarzlik specjalnie nie protestował, uznał to jednak za wypadek przy pracy sekretarza wyceniającego teksty. „Przeгляд” w czasie Olimpiady z uwagi na różnicę czasu między Melbourne a Warszawą wychodził częściej i wcześniej niż zazwyczaj, bo już w późnych godzinach popołudniowych. Znaczną część nakładu z aktualnymi informacjami za frajer rozwoziliśmy furgonetkami po słabo oświetlonej Marszałkowskiej, Alejach Jerozolimskich i Nowym Świecie. Nikt nie protestował.

Byliśmy dumni z Eli Duńskiej-Krzysińskiej, Jurka Pawłowskiego i szermierzy, głównie z Marka Kuszewskiego (w roku 1956 pracował w „PS”), współczuliśmy Januszowi Sidle i przegranym bokserom. Ale nie tylko igrzyska rozbudziły w nas gorący patriotyzm. W maju kibicowaliśmy kolarzom, Stanisława Królaka traktowaliśmy, jak mistrza olimpijskiego. Podczas Wyścigu Pokoju pełniliśmy dyżury przy telefonach, a na balkonie zainstalowaliśmy megafon. Podawaliśmy z trasy aktualne komunikaty. Wystarczyło powiedzieć: w czołówce „biało-czerwono”, a już zatrzymywali się i bili brawo przygodni kibice. Oni, tak jak my, potrzebowali zwycięstw i nadziei na lepsze jutro. Zbliżała się „odwilż”...

Najpilniej śledziliśmy rozgrywki ligowe. Bractwo grało w totka, więc musiało być w tych sprawach na bieżąco. Z reguły pewniakiem była Legia, ale niekiedy i ona płała figle. Jednak rewanż za zeszłoroczne 1:1 ze Stalą w Sosnowcu był srogi – „zieloni kanonierzy” teraz wygrali tam aż 4:0.

Takimi wynikami na korzyść CWKS – twierdził nowy trener wojskowych, Ryszard Koncewicz – powinno kończyć się większość spotkań. Na krajowych boiskach ten zespół nie ma sobie równych.

Legioniści powtórzyli osiągnięcia z zeszłego roku, znowu wywalczyli mistrzostwo i Puchar Polski. Był to sezon, w którym obejrzałem mnóstwo spotkań ligowych, bodaj najwięcej w całej karierze. Miłe to, ale też dość kosztowne. Diety były skromne, do każdego wyjazdu sporo dokładałem. Tłumaczono mi, że to „korzystny dodatek”, bo jeść i pić trzeba wszędzie. W domu również... Red. Aleksandrowicz szybko znalazł receptę na moje stękanie:

– To podróżuj PKP!... – poradził.

– Ależ ja, panie Grzegorzu, jeżdżę tylko pociągami... Polskich Kolei Państwowych.

– Źle mnie zrozumiałeś... PKP to w gwarze piłkarskiej znaczy Płać Konduktorowi Połowę... To stara metoda. Od dawna z takich „ulg” korzystają niektórzy działacze i piłkarscy sędziowie...

Byłem w domu. Pomysł dobry i skuteczny, choć nieuczciwy. Skoro jednak im wolno, to i ja mogę spróbować. Od czasu do czasu na trasie Warszawa – Katowice – Warszawa rzeczywiście coś niecoś zaoszczędzałem. Następcy „pana Grzegorza”, młodszy sędziowie niewątpliwie sprytniejsi i jeszcze bardziej „napaleni” na kasę, udoskonalali praktyki swoich mistrzów. Wynajmowali cały przedział, płacili znajomemu konduktorowi stosowny ryczałt i czuli się jak u siebie w domu. Nikt im nie przeszkadzał, zmęczeni mogli spokojnie pospać, a hazardziści pograć w pokerka i przy okazji wypić po kielichu. Zdarzało się, że ci lepsi gracze puszczały tych słabszych w skarpetkach. A potem ci najbardziej przegrani z konieczności byli wtedy na wikcie śląskich klubów lub zaprzyjaźnionych pańienek. Już czekały na „salonowców z warszawki” w hotelowych poczekalniach.